



RE

Zofia Kucówna w filmie
„Przygoda noworoczna”, 1963 r.,
reż. Stanisław Wohl

CYDDYWWISTKA

Lata 70. Opozycja rosła w siłę. Komentowano nasze flirty z władzą. A my lawirowaliśmy i partyśmy do przodu. Piece grzewcze dla nas były najważniejsze

Z aktorką **Zofią Kucówną** rozmawia **Teresa Torańska**

Masz piękne siwe włosy. Podobają ci się?

Bardzo, od kiedy?

Parę lat temu rano, przy makijażu, popatrzyłam w lustro i w mojej twarzy coś mi się nie zgadzało. Mama często mówiła: „Zosiu, uśmiechnij się, bo jak się nie uśmiechasz, jesteś ponura”. A ja jej odpowiadałam, że tylko idioci bez przerwy się śmieją. I ona, moja kochana mama, niezmiennie mi powtarzała: „Lepiej uchodzić za idiotkę niż za ponuraka”.

Uśmiechnęłam się do lustra, jak kazała mama. W mojej twarzy nadal było coś nieprawdziwego. Jakieś kłamstwo. Kolory się nie zgadzały. Pszenny blond nie był już mój. Podjęłam decyzję: wracam do natury.

Dla kobiet jedną z trudniejszych.

Ciekawa byłam, co z tego wyjdzie. Jeśli jak u mamy, że z jednej strony włosy będą białe, z drugiej ciemne, będzie fantastycznie.

I jak wyszło?

Jak u mamy.

A koleżanki?

Powiedziały: „Masz świetnie zrobione włosy”. „Tak? No, to fajnie”.

Dobrze być aktorką, prawda?

Teatr jest najpiękniejszą przygodą mojego życia. To, że nią zostałam, zawdzięczam mojej polonistce z Liceum Plastycznego w Krakowie.

Był rozpisany konkurs recytatorski z utworów Słowackiego. Zdobylam I nagrodę w liceum, potem w Krakowie i w konkursie ogólnopolskim. Mówiłam... (*śmiech*)

Coś śmiesznego?

Nie, nie. Mówiłam monolog Kordiana na szczycie Mont Blanc, a ubrana byłam w fartuch amerykańskiej salowej. Granatowy, zgrabnie uszyty, z džinsu, którego u nas jeszcze nie znano. Odkryłam go w paczce UNRRA, którą tata przyniósł z pracy. Mama powiedziała: „Doszyjemy biały kołnierzyk i będzie ładnie”.

Moja polonistka powiedziała: „W plastyce będziesz przypuszczalnie przeciętna, a w aktorstwie możesz być nieprzeciętna, idź, spróbuj”. Pani Romankówna była bardzo odważną osobą, ja nie umiałabym tak zdecydowanie wejść w życie młodej dziewczyny, jak ona weszła w moje.

Zapytałam ją po latach, czy nie miała wątpliwości. Siedziałam u niej Na Grobli w Krakowie, ona kazała mi mówić do siebie na ty, za nic nie umia-

łam do niej powiedzieć „Mieciu”, kłuczyłam, by ominąć obie formy i ona rzekła: „Bałam się, ale miałam sprzymierzeńca”. Był nim jej brat, aktor. Skontaktowała nas. Nie był wybitnym aktorem, ale powiedział mi o wierszu rzeczy, które są dla mnie ważne do dzisiaj. Że jeżeli wyobrażenia nie rodzi słowa, to słowo jest martwe. Proste, prawda? „Jaka góra - zapytał - jest dla ciebie najbliższa?” Mówię: „Nosal, zjeżdżałam z niej na nartach”. „To wyobraź sobie, że stoisz na szczycie Nosala, masz mgłę nad głową i mgłę pod stopami. Czujesz się szczęśliwa i przerażona. Teraz spójrz w przepaść, co widzisz?” Stałam pod białym kaflowym piecem Na Grobli, a czułam się jak na szczycie Mont Blanc. Mówiłam: „Zamknięty jestem w kulę kryształową”.

Jak tam jest?

Nie wiem, czy ten szczyt osiągnęłam.

Ty nie wiesz?

Zrobiłam tyle, na ile było mnie stać. Nie byłam osobą leniwą. Tylko w szkole aktorskiej się objęłam. Wydawała mi się niepoważna. To był początek lat 50., najprzykrzejszy czas indoktrynacji. Szkoła wtedy



nie zawsze była przyjazna. Trzymałam się z Tereską Bielinską i Andrzejem Gazdeczką. „O! Psy idą” - mówiono o nas. Tereska miała twarz pięknej wyzłicy, Andrzej był chudy jak chart, ja miałam twarz mopsa. Postawiono nas przed sądem koleżeńskim. Zorganizował go nasz kolega z roku. Był strasznie ideologiczny. Bez przerwy się nas czepiał. Wypenetrował, że mój ojciec był przedwojennym oficerem zawodowym, należał do AK i po wojnie siedział w więzieniu. Oraz że brata nie przyjęto na studia, skierowano do batalionów pracy i zesłano do kopalni. Teresie i Andrzejowi też coś wygrzebał. Byliśmy więc wrogami klasowymi. Gazdeczka odgryzał się. Raz nie wytrzymał i „ty onanista” powiedział na niego. Kolega tego nie darował. Złożył doniesienie do ZMP i oskarżył nas o założenie frakcji sabotażowej.

Należałaś do ZMP?

Oczywiście. Wpisywano całymi klasami, o zgodę nikt nie pytał. Ciekaw jestem, jak zachowały się wtedy

pan Wildstein, czołowy lustrator. Czy jak mój brat, który nieświadomie konsekwencji do ZMP się nie zapisał i stracił zdrowie w kopalni?

Nie denerwuj się.

Nie potrafię. Ciągłe mnie tamto obchodzi. Jest jakimś stygmatem. Może z poczucia winy, że losy brata nie zrównały się z moimi?

Opowiedz o frakcji sabotażowej.

Było tak. My we troje kompletnie nie kapowaliśmy marksizmu, nie podobalo się nam WKP(b). Oblewaliśmy egzaminy, a kolega był obkuty i poduczał nas do egzaminów poprawkowych. Przyszedł do mnie do domu, Tereska już była, Andrzej się spóźnił. Był u chorej matki w szpitalu. Czekaliśmy na niego. Wszedł, wyglądał strasznie. Była zima, mróz, sypało śniegiem. Czerwony nos, zgrabiące ręce, napuchnięte wargi, jak mówił, usta mu leciały w bok i gil skapywał z nosa. Jego matka umierała, lekarze nie dawali żadnej nadziei. Moja mama go przytulila, zrobiła



Ze Zbigniewem Cybulskim w filmie Aleksandra Ścibora-Rylskiego pt. „Ich dzień powszedni”, 1963 r.

Zofia Kucówna jest także pisarką - autorką wspomnień i felietonów („Zapach szminki”, „Zatrzymać czas”, „Zdarzenia potoczne”).

Jako Eurydyka z Tadeuszem Janczarem w roli Orfeusza w sztuce Jeana Anouilha reżyserowanej przez Jacka Szczęka w warszawskim Teatrze Powszechnym, 1961 r.

gorącą herbatę i tata do herbaty wlał solidny łyk rumu. Andrzej wysiorbał wrzątek i od razu, oczywiście, zasnął. A my tłuśliśmy marksizm przy śpiącym Andrzeju. Kolega podczas sądu koleżeńkiego, w którym udział brała cała szkoła, poszarpał mojego ojca, bo zdarzenie to nazwał rozpiciem młodzieży. I dodatkowo jeszcze wypomniał mi amerykański fartuch, że kapitalistyczny.

To dzisiaj wydaje się wręcz nieprawdopodobne.

Dlatego niechętnie o tym mówię. Na szczęście wtrącił się profesor Fulde, partyjny, ale rozsądny i uczciwy. Nie wyrzucono więc nas z uczelni, tylko zawieszono w prawach członków ZMP.

Kolegę spotkałam w Moskwie w latach 70. Byłam tam z Teatrem Narodowym z „Trzema siostrami”. Był już wybitnym twórcą teatru. Podszedł do mnie, siedziałam w hotelu, przykleknął i powiedział: „Zosiu, tak się cieszę, że świetnie ci idzie”. Nie potrafiłam być miła. Odpowiedziałam:



„Między nami jest coś, czego nigdy nie zapomnę. Dajmy sobie spokój”.

Może nie pamięta?

Pamiętał, dobrze pamiętał. Wstał. „Przepraszam” - rzekł. I odszedł. Dziś tak bym chyba nie zareagowała. Dla takich ludzi mam rodzaj współczucia, że stali się narzędziem ideologii z powodu charakteru, którego zmienić prawdopodobnie nie sposób.

Z Krakowa przyjechałaś do Warszawy.

Przez przypadek. Po szkole były przydzielone prace. Wymyślił się z moim chłopakiem, że spróbujemy zostać w Krakowie w Teatrze Młodego Widza. Ale pani dyrektor Maria Biliżanka reżyserowała właśnie w Teatrze Bajka w Warszawie przedstawienie dla młodzieży na otwarcie Pałacu Kultury i Nauki. Przyjechalibyśmy do Warszawy. Pałac nie był jeszcze wykończony. Przedarliśmy się przez kordony ruskich i polskich strażników, pokonaliśmy wykopy i stanęliśmy przed panią dyrektor. Przyjrzała się

nam, zamieniła parę słów i powiedziała: „Biorę was”. Załatwiła formalności w Ministerstwie Kultury.

Jesteśmy z Jankiem w Teatrze Młodego Widza i będziemy brali udział w wieczorze poezji Mickiewicza, który pani Halina, żona Iwo Galla, przygotowywała dla szkół. Były w nim także fragmenty „Dziadów”, których nie wolno było wówczas grać. Pani Gallowa różnymi sposobami przemyciała zakazane rzeczy. Na jednej z prób zwróciła na mnie uwagę i pochwaliła. Są słowa, których się nie zapomina. Pamięta się je w chwilach zwątpień.

Były?

Są. Nigdy nie umiałam wyjść na scenę prosto z garderoby czy z przedsceny, gdzie siedzi się z kolegami i pogaduje. W teatrze lubię rytuały. Lubię przyjść wcześniej do garderoby, rozbiierać się powoli, a przed przedstawieniem przegadać początek roli albo dykcyjnie trudniejsze fragmenty. Najczęściej robię to, domyślasz się gdzie?

W toalecie.

Potem lubię stanąć w ciemnej kulisie, wejść w skupienie, wyciszenie, by zgromadzoną energię z całą mocą potem z siebie wyrzucić.

W „Panu Tadeuszu” w Teatrze Narodowym grałam ochmistrzynię Jędykowiczównę, prowadziła spektakl od początku do końca. Opowiadała o polskich tradycjach i obrzędach. Mówiłam: „Takiej kawy jak w Polsce nie ma w żadnym kraju” i „O roku ów, kto ciebie widział w naszym kraju”.

Po tym monologu robiłam fermatę. Pokażę ci - stałam dobrą chwilę bez żadnego gestu i miękkim ruchem schodziłam ze sceny. Cisza, cisza, cisza. I jak byłam już za sceną, w połowie horyzontu powinny iść brawa.

Szły?

Cisza, cisza i... poszły. Znaczący dobrze, byłam szczęśliwa.

Jesteś?

Nieee! Człowiek nie może być bez przerwy szczęśliwy.

Bo szczęście to co?

Sekundy. Zdarzają się nie wiadomo z jakiego powodu. O szarej godzinie człowiek kładnie w krzesło i: „Boże, jak pięknie” - westchnie. I coś fajnego z człowiekiem zaczyna się dziać. Może to uderzenie adrenaliny, jakaś reakcja chemiczna, nie wiem. Nazywam to aktem strzelistym. Albo idziesz ulicą, głupi listek z drzewa kładzie ci się koło stóp i ty ten banal przyjmujesz jak ósmy cud świata. Bo kolor tego listka, bo aura, bo spadł ci pod nogi. I nagle bum, jakiś klakson, i koniec. Jestem kolekcjonerką doświadczeń, także ciężkich, konieczne są jako kontrapunkt, nie oddałabym ich nikomu.

Czegoś uczą?

Nie. Człowiek niczego się nie uczy, nie wierzę w to. Jestem niepoprawną recydywistką. Ale jak się już wyzwolę z cierpienia, ogarnia mnie trudna do wysłowienia radość, że się uwolniłam.

A szaleństwo gdzieś w tym jest?

Popelniałam rzeczy rozkoszne i okropne. Jednych i drugich nie za-

łuję. Dowodzą mi dziś, że byłam do nich zdolna, i dają głupią, bo głupią, ale satysfakcję.

Na przykład?

Irracjonalna sprawa. Chodziłam do klubu filmowego, pokazywano w nim filmy, których nie wyświetlano w kinach. Był poniedziałek po południu...

Zastanawiam się, jak ci to opowiedzieć. Nie, to jest absolutnie nie do opowiedzenia.

Zmienimy szczegóły.

Nie da się. Nie byłam osobą samotną.

Siedzę w klubie, patrzę w ekran. Dziwnie niewygodnie mi się siedziało. W szyję mi było niewygodnie. Film się skończył... Nie! Muszę ci to zagrać... Wstałam, krzesło klapnęło. Odwróciłam się, spojrzałam do tyłu prosto w oczy młodego mężczyzny, który siedział trzy rzędy za mną. To spojrzenie trochę za długo trwało. Wyszliśmy równo z tych rzędów, o tak. I od razu wzięliśmy się za ręce. Byliśmy półprzytomni z pragnienia.

I...?

Kicz. Jechałam potem pociągiem do Warszawy. I cierpiałam, jak powinno się cierpieć w melodramacie. Współpasażerowie widzieli kir wypisany na mojej twarzy i byli wobec mnie serdeczni. A gdy dojechałam do Warszawy, kompletnie mi przeszło.

I co, już koniec?

No, tak.

Przyznałaś się?

Broń Boże. Nigdy nie należy się przyznawać, za nic w świecie! Ja też takiej szczerości nie oczekiwałam od moich partnerów. Nie życzę jej sobie. To jest twoja intymna sprawa, nie mam z nią nic wspólnego. Dla mnie ważne jest, co zdarza się między nami, reszta mnie nie interesuje. Uważam, że tzw. uczciwość małżeńska kończy się niejednokrotnie grobem małżeństwa. Jeśli zdradziłeś i masz z tego powodu rozdrapy, męcz się sam. Ja tylko żądam dyskrecji. Zdradzonego powinno



Epitety „kolaborant”, „pupil władzy”, „marcowy dyrektor” nie odbierały Adamowi impetu w pracy. Mobilizowały go, żeby udowodnić, iż jest godzien sprawować rządu właśnie w Teatrze Narodowym. Walczył i w walce spełniał się najdoskonalej

Zofia Kucówna z Adamem Hanuszkiewiczem, wówczas jej mężem. Początek lat 70.

się oszczędzić. No, chyba że zostaniesz złapana in flagranti. Wtedy, cholera, nie ma wyjścia.

Która rola lepsza?

O żadnej nie marzyłam.

Nie chciałaś być Julią od Romea?

Nie, nie. Julią nie, ale Wąsowską. Wykorzystałam mężowską protekcję. Raz jeden.

Dyrektora Hanuszkiewicza.

To była jego adaptacja „Lalki” Prusa. Zawsze mnie widziano w rolach subrettek albo lirycznych panienek. A ja miałam już 32 lata i marzyłam o zagranium dojrzałej kobiety. Adam gdzieś wyjechał, usiadłam przed lustrem i popracowałam nad sobą. Zlikwidowałam dziewczęcą grzywkę, dolepiłam rzęsy. I jak wrócił, otworzyłam drzwi i zapytałam: „Mogę grać Wąsowską?”. A on: „Możesz”. I zagrałam. Pan Kopaliński napisał recenzję w „Życiu Warszawy”. Mogę zacytować: „Niestety, nie dysponuję większą czcionką drukarską, ażeby napisać imię i nazwisko aktorki, która grała Wąsowską”. I dalej było tustą czcionką: „Zofia Kucówna”. Najpiękniejsza recenzja, jaką otrzymałam.

A najgorsza?

Złych na ogół nie miałam, ale jedną bardzo przykrą. Od pana Lucjana Kydryńskiego po „Beniowski”. To było cudne przedstawienie. A pan

Lucjan nakaprysił, ile wlezie, i napisał, że na zakończenie II aktu wystąpiła pani dyrektorowa w roli jakiejś świętej. Mówiłam precudnej urody plank Matki Boskiej Poczajowskiej. Po wielu latach przyznałam się mu do przykrości, jaką mi zrobił. Chodziło mi o słowo „dyrektorowa” oczywiście. Nie o krytykę.

Cała zresztą jego recenzja była, niestety, tendencyjna i nie chodziło mu o sprawy artystyczne, ale środowiskowe dokuczenie.

Bo Adam Hanuszkiewicz objął dyrekcję Teatru Narodowego?

Tak jest. W 1968 roku Teatr Powszechny miał zostać zamknięty. Szedł do generalnego remontu, który przygotowywał dyrektor administracyjny Tadeusz Kaźmierski. On go zresztą wykonał i jak nowiutki oddał w ręce dyrektora Hübnera, o czym też wszyscy już zapomnieli

i tej sprawiedliwej prawdy nie chcą pamiętać.

Adam martwił się, co stanie się z zespołem artystycznym i technicznym. Że się rozpadnie, przestanie istnieć. Żał serce nam ściszał. Remont mógł trwać rok, dwa, a może i cztery lata. Nikt nie wiedział, jak długo.

W połowie sierpnia 1968 wracaliśmy z Jugosławii samochodem. Było wyjątkowo cudne, słoneczne lato. Na granicy czesko-polskiej nie dopuszczono nas do przejść granicznych, spychano gdzieś na boki, nawet w koryto jakiejś wyschniętej rzeki i nagle wjechaliśmy na czołgi z lufami. Coś się dzieje. Adam mówi: „Nigdzie tu nie nocujemy, jedziemy prosto do Polski”. Do moich rodziców w Krakowie dotarliśmy o piątej nad ranem. Wschodziło słońce i nad Wawelem wisiała rozpalona naga kula. Ojciec powitał nas słowami: „Zanosi się na poważną awanturę”. Słuchał Wolnej

Europy. Przespaliliśmy się do dziewiętej wyszliśmy na miasto. Wychodząc z bramy naszej kamienicy na Komorowskiego, natknęliśmy się na idącego chodnikiem Ryszarda Kosińskiego, krytyka teatralnego. „Panie Adamie - zawołał - gratuluje”. „Czego?” „Nominacji na dyrektora Teatru Narodowego”. „Tak? - zdziwił się Adam. - Nic o tym nie wiem”.

Idziemy na Rynek do cukierni Noworola. Wszyscy zaabsorbowani wiadomościami, że coś szykuje się w Czechosłowacji. Przyjeżdżamy do Warszawy i informacja Kosińskiego się potwierdza. Adam dostał zaproszenie na rozmowę do KC.

U nas w mieszkaniu nieustannie goście i dyskusje: brać czy nie brać?

Pojechaliśmy do Mietka Rakowskiego na Saską Kępę. Byliśmy w zażyłości z nim i jego ówczesną żoną Wandą Wilkomirską. Mietek siedział nad kupą sznurków i usiłował roz-

płatać jakiś węzeł żeglarski. Scena wręcz metaforyczna. Przy rozplątaniu sznurków panowie przez parę godzin zastanawiali się, czy Adam propozycję powinien przyjąć, czy nie przyjąć. Zmęczony Mietek wreszcie powiedział: „Bracie teatru po Dejмку po marcowych awanturach - ja bym się nie odważył”.

Ale Dejmek został odwołany siedem miesięcy wcześniej.

Nikt o tym nie pamięta. Wszystkie zdarzenia się pokleily we współzależną jedność i stały się obowiązującą prawdą. Płotka poszła i do dzisiaj pokutuje, że Hanuszkiewicz starał się o ten teatr. Kategorycznie temu zaprzeczam. Żądał jedynie sali zastępczej dla Teatru Powszechnego.

Po kilku dniach była inwazja na Czechosłowację. Adam mówi: „Fajnie, dadzą mi spokój, wyjeżdżamy nad morze”. Zatrzymaliśmy się u Sza-

lawskich w Sopocie. Przyjeżdża Jurerek Sito, kierownik literacki Teatru Powszechnego. Na molo spotykamy dyrektora Mariana Mellera. Obydwaj są za wzięciem. Adam podejmuje decyzję: jeśli propozycję powtórzą, wyrazi zgodę, pod warunkiem że nastąpi fuzja teatrów Narodowego i Powszechnego, a kiedy Powszechny będzie wyremontowany, wycofa się ze swoim zespołem na Pragę. Warunki zostały przyjęte i stało się.

Holoubek wyszedł z Narodowego z hukiem.

Zostawmy to. Zaczęła się praca. Po stałą lupą opinii środowiskowej. Nieustanna „kontrola na pokładzie”. Jestem osobą hardą, po chłopsku charakterną. „Co ludzie powiedzą” nigdy nie było dla mnie miarą wartości. Nie lubię też siedzieć na cenzurowanym. A wokół pana Adama bardzo dużo się działo. On zresztą

dbał o to, żeby się działo. Epitety „kolaborant”, „pupil władzy”, „marcowy dyrektor” nie odbierały mu impetu w pracy. Mobilizowały go, żeby udowodnić, iż jest godzien sprawować rządy właśnie w Teatrze Narodowym. Walczył i w walce spełniał się najdoskonalej.

Ty nie lubisz?

Nie. Mnie kłamstwa gniewają. Ale nauczyły dystansu, wyrobiły we mnie poczucie osobności i zwoliliły od konieczności fraternizowania się z tzw. ogólną większością. Etos wspólnotowy obowiązywał nadal, ale nie w baraním wydaniu. Pragnęłam czegoś, co byłoby moje, co uratowałoby mnie od partnerskiego truchtu „dyrektorowej”, której serdecznie nienawidziłam. Lojalność i solidarność tak, ale nie „przy boku”. Wystarczy, że jestem w zespole, który nie za bardzo był

wobec mnie otwarty i szczery. Zgłosiłam się do Andrzeja Szczepkowskiego o włączenie mnie w pracę społeczną dla Skolimowa.

Dom Aktora się walił.

Był nieremontowany od 1927 roku. Dachy ciekły, piece grzewcze groziły wybuchem, ściany były za-grzybione. Od 1972 roku wspólnie z Olą Dmochowską zaczęłyśmy walczyć o jego generalny remont.

Byłam niedouczoną jak pszenka blondynka. Wiedziałam tylko, kim jest Gierek i Cyrankiewicz. Uczylałam się nazwisk sekretarzy.

Jacy byli?

Modelowali na waszeci. Bardziej z szlachecka niż z gminu. To paniska. Mieli dużo swobody. Szeroki gest.

Wchodziliśmy do ich gabinetów z Olą i mówiłyśmy: „Panie sekretarzu kochany, na pana terenie jest dom

emerytowanych artystów, on należy do pana, bo pan jest gospodarzem tego królestwa, i jeżeli tam hukną kotły ogrzewcze, to my odpowiedzialnością obarczymy pana, bo my nie mamy ani pieniędzy, ani mocy prerobowych. W pana rękach nasze szczęście”.

Byłyśmy młode, wygadane i czasem bezczelne.

Ola mówiła do mnie: „Do Kępy z kwiatkiem nie pójdziemy, bo on zasadniczy, ale do Szymborskiego możemy, bo on malutki i chudziutki”. A ja, ponieważ też jestem zasadnicza, protestowałam: „Do mężczyzny za nic w świecie z kwiatkiem nie pójdę”. I Ola: „To ja pójdę”. Kupowała bukietki fiołków lub stokrotek, kładła im na biurku. I załatwiała sprawę.

To były lata 70. Opozycja rosła w siłę. Nasze flirty z władzą nie były niezauważane. Komentowano je. A my lawirowaliśmy i parłyśmy do

przodu. Piece grzewcze dla nas były najważniejsze.

Panowie prezesi w SPATiF-ie korzystali z naszych interwencji, bo tak im było wygodniej i bezpieczniej. My zaczynałyśmy, a oni oficjalnymi pismami sprawę dociskali. Zaczynał się remont.

Tak za nic?

Nie. Okazało się, że nic nie jest za darmo.

Zostałam poproszona do KC. Zapytano: „Dlaczego pani permanentnie odmawia występów na akademiach państwowych?”. Powiedziałam prawdę: „Bo występ na estradzie jest dla mnie takim stresem, że nawet za zbawienie niebieskie nie wystąpię. Zwłaszcza w Sali Kongresowej”.

Na razie dano mi spokój. Potem zaproponowano, żebym kandydowała na radną. Powiedziałam: „Panowie kochani, wystarczy mi robo-

Jeśli zdradziłeś
i masz z tego
powodu rozdrapy,
męcz się sam.
Ja tylko żądam
dyskrecji.
Zdradzonego
się powinno
oszczędzić. No,
chyba że zostaniesz
złapaną in flagranti.
Wtedy, cholera,
nie ma wyjścia

ty w Skolimowie”. No to dano nową propozycję - udział we Froncie Jedności Narodu. Pojęcia nie miałam, na czym to polega. Prezydent miasta pan Majewski, widząc moje wahanie, powiedział konfidencjonalnie: „Pani Zofio, to bezpieczna sprawa, może pani w to wejść”.

Zapytałam Olę. A ona bez najmniejszej wątpliwości oświadczyła: „Gdyby mi zaproponowali, weszłabym dla Skolimowa”. No to weszłam. Oli ufałam najbardziej.

Szykowały się wybory, już nie pamiętam jakie. Przydzielono mnie do jakiegoś rewiru. Miałam liczyć głosy. Ale zanim to się stało, spotkałam na krótkiej wilegiaturze w Nieborowie Halinę Mikołajską, która każdego wieczora po kolacji prowadziła zażarte dyskusje z panem Ryszkiewiczem. Pan profesor, trzeźwy pozytywista, opowiadał się za pragmatyzmem i racjonalizmem, a Halina, gorąca ro-

mantyczka, walczyła o wartości moralne. Emocjami byłam z nią, rozum kazał opowiedzieć się za racjonalizmem. Słuchałam ich rozmów z płonącymi uszami. Kiedy mówiła Halina, miałam wyrzuty sumienia, że się bratam. Kiedy głos zabierał pan profesor, byłam dumna, że ochraniając, ratuję, służę starym ludziom.

Po powrocie do Warszawy spokojna już i wewnętrznie uporządkowana w wyznaczonym mi rewirze zasiadłam do liczenia głosów. Niestety. Pan przewodniczący bardzo szybko się zorientował, że jestem z cyframi na bakier i przeniósł mnie do odfajkowania rewirów, które przysyłały swoje wyniki. Zobowiązanie wykonałam bez przykrości.

Warto było?

Poczekaj.

Nasze kontakty z władzą trwały do ostatnich dni jakiejś takiej normal-

ności. To było nawet interesujące obserwować, jak to wszystko leciało w przepaść jak po równi pochyłej. Nadziwić się nie mogłam, że to wszystko trzyma się jeszcze kupy.

Nie trzymało.

Widziałam to z bliska. Na przykład na kupienie dla Skolimowa głupiego rezerwuaru, który zleciał po pociągnięciu sznurka, potrzebne było pozwolenie aż pani wiceprezydent Warszawy. Na papierku musiały być dwie pieczęcie: okrągła miasta stołecznego Warszawy i prostokątna pani wiceprezydent. Papierek wskazywał, w jakim sklepie, na jakiej ulicy należy uczynić zakup. To był classic.

Oni tego nie widzieli?

Wszystko widzieli. Czasami w rozmowach coś takiego puścili, że my z Olą po wyjściu: „Jezus Maria, co on mówił!”. Oni przy Holoubku czy Szczepkowskim nigdy by nie palnęli na przykład, że to musi wszystko...

...pieprzyć?

Nie, nigdy brzydkich słów nie używali. Chyba „wałnąć” mówili. Nie, inaczej, że to musi się rozwalić. Ale te słowa były kpinką pokrywającą, dowcipem.

Wiesz, jak było? My ich traktowaliśmy jak niedouczone idiotów. A oni nas jak naiwniaków. Bo system, który przyszedł ze Wschodu, był tak inteligentnie pomyślany, żeby nas wszystkich przerobić i uwikłać. Przerobić może nie, bo w końcu nie przerobiono, ale uwikłać, oplątać, wessać w układy, układziki, nieczyste gry.

A co z remontem?

Zrobili. Trzeba powiedzieć prawdę. Biedny sierociniec zamienili w schludny, ciepły, chodnikami wymoszczony dom. Nie do końca zrealizowali swoje zamiary, bo wybuchła rewolucja, zaczęły się strajki, „Solidarność”, potem stan wojenny, a potem... już wiemy. Wszystko zaczęło się od początku. Kawał ładnego życia przeżyłam dla Skolimowa.

Z teatrem w drugim planie?

Tak musi być. Kiedy byłam bardzo młodą dziewczyną, poszłam na „Fan-



tazego” z Juliuszem Osterwą. Raz jeden widziałam Osterwę na scenie. Osterwa był już starszym schorowanym panem. Ja chciałam kochać Fantazego, jak kochała go Idalia. A on nie był już dla mnie do kochania. Poczulałam się zawiedziona. Na całe życie zapamiętałam tamto zawiedzenie.

Chcesz odejść?

W przyszłym roku minie 30 lat podarowanego mi życia. Kiedy walczyłam z chorobą, niczego nie pragnęłam. Tylko pozbyć się lęków, pogodzić z sytuacją, żyć z nią w zgodzie. I z normalnie przeżytego dnia czerpać spokój. Od Bożego Narodzenia do Wielkiejnocy, od Wielkiejnocy do wakacji, to były progi, które przekraczałam. Idąc dalej, w życie. Oddając mnie życiu, dr Malinowski powiedział: „Pani choroba jest po słonecznej stronie ulicy”. Fizycznie zareagowałam, wzięłam oddech. To były kolejne ważne słowa. Padły we właściwym momencie.

Więc kiedy przyszedł rozwód, nie było we mnie rozpacz, tylko smutek. Byłam smutna, bo rozstanie zawsze jest klęską. Ale nie mogłam mieć i nie mam do nikogo pretensji. Bo to ja sama dokonywałam wyborów, ja sama

Rozstanie zawsze
jest klęską.
Ale nie mogłam mieć
i nie mam do nikogo
pretensji. Bo to ja
sama dokonywałam
wyborów, ja sama
umieściłam swoje
uczucia i ja sama
odpowiedzialna
jestem za całe
moje życie

**Ze swoimi studentami
z Akademii Teatralnej
w Warszawie. Po lewej
Anna Dereszowska, po prawej
Maciej Makowski**

umieściłam swoje uczucia i ja sama jestem odpowiedzialna za całe moje życie. Koniec małżeństwa stał się początkiem czegoś dobrego w moim życiu. Maciek Englert bardzo ładnie się zachował, zaproponował mi miejsce w zespole Teatru Współczesnego, choć do niczego nie byłam mu potrzebna. Nie czułam się zawodowo spełniona, ale na szczęście znalazłam się w szkole teatralnej. Zakochałam się w niej. Dzięki młodzieży nie stałam w miejscu, musiałam akceptować ich gusta, ich myślenie. Żyjąc z nimi i przy nich, ciągle rozwijałam się wewnętrznie i to było fantastyczne. W szkole pracowałam 20 lat i mogłabym dalej, bo nikt mnie nie wyrzucił, ale doszłam do wniosku, że trzeba już odejść. Trzeba wiedzieć, kiedy odejść.

Nie za wcześniej?

Trzeba właśnie tak. Młodzież woli pracować z młodymi pedagogami, choć może mniej praktycznie wiedzą o zawodzie i mniej mają do opowiedzenia, bo rozmowy też są edukacją. Co oni ode mnie wzięli? Sądzę, że trochę ładnych rzeczy im przekazałam, skoro wielu z nich utrzymuje ze mną kontakt. Przychodzą, siadamy tu, przy stole.

A kiedy ich nie ma?

Jest szara godzina. O szarej godzinie słońce zachodzi, w przyrodzie wszystko milknie. Wiatr ustaje, ptaki przestają śpiewać, a ziemia, kwiaty, drzewa, trawy nabierają intensywniejszego koloru. Jest cisza. Jak po burzy. Albo jak pauza w monologu mówionym na scenie, potrzebna na wzięcie oddechu. I jeśli ktoś trafi się z dobrą rozmową, wtedy są one najpiękniejsze. Miałam takich parę, niezapomnianych.

Siedzę i myślę.

O czym wczoraj?

Przemyslałam naszą rozmowę.

I czego ci w niej brakuje?

Za dużo było o Hanuszkiewicz.

Całkiem chcesz go skreślić?

Nie. Zostaw.

rozmawiała **Teresa Torafska**